

## ANDRZEJ BIELECKI

---

Andrzej Bielecki, wachmistrz Wojska Polskiego, ur. 16 grudnia 1893 r. w Podhorcach, pow. Złoczów, woj. tarnopolskie, Polska. Ostatnio przodownik Policji Państwowej miasta Lwowa, żonaty z Matyldą z d. Jakubowską. Czworo dzieci, a to: córki Leokadia Maria, ur. 18 grudnia 1924 r., i Czesława Anna, ur. 1 marca 1928 r., oraz synowie Kazimierz Jan, ur. 1 maja 1929 r., i Bolesław Karol, ur. 17 listopada 1930 r.

---

15 października 1939 r. o godz. 10.00 przybyłem do mego szwagra Władysława Jakubowskiego (zam. przystanek Brachówka, gromada Kąty [Konty], gm. Ożydów, pow. Złoczów, woj. tarnopolskie) i miejscowa milicja składająca się z czterech Ukraińców aresztowała mnie i odstawiła do gm. Ożydów. Powód: nienawiść do Polaków.

W Ożydowie trzymano mnie do 16 października 1939, godz. 10.00, w areszcie prewencyjnym gminnym pod strażą w jednej celi, po czym zabrano mnie i odstawiono pod eskortą dwóch milicjantów do Złoczowa do gmachu starostwa, gdzie przedstawiono mnie komendantowi milicji sowieckiej N. Łachowi, który przesłuchiwał mnie na okoliczność znęcania się nad ludnością, a chodziło mu szczególnie o Ukraińców. Konfrontował mnie z różnymi osobnikami z pow. złoczowskiego, jednak nikt ze świadków ujemnie nic nie powiedział. Następnie nakazał warcie milicji odstawić mnie do NKWD mieszczącego się w byłej Powiatowej Komendzie Policji Państwowej, ul. Podwójcie 15. Tam przeprowadzono szczegółową rewizję i odebrano mi gotówkę, zegarek marki „Oris”, pasek od spodni, szelki, sznurówki i inne drobne rzeczy, po czym zamknięto mnie do aresztów tam znajdujących się. W celi było nas pięć osób, a to: masarz Pyć, Rusin ze Złoczowa; jeden osobnik, Polak z Krakowa; jeden z Białegostoku i dwóch Polaków, rolników z Pietrycz, pow. Złoczów. Przy czym często zmieniano tych osobników bądź wołano na przesłuchanie, bądź też oddawano do więzienia w Złoczowie, a w miejsce ich przyprowadzano inne osoby, których nazwisk nie pamiętam.

Ja byłem wzywany na przesłuchanie szczególnie nocną porą, przez kapitana sowieckiego Dymydowa, który wymagał ode mnie nazwisk wszystkich policjantów z pow. złoczowskiego. Nie znałem tych policjantów ani ich nazwisk, oświadczyłem mu, że nie wiem, gdyż służyłem we Lwowie. Ten ze złością groził, że zabije mnie, gdy nie powiem, grożąc mi rewolwerem, wyzywając mnie i obrażając różnymi słowami po rosyjsku. Byłem w krytycznym położeniu – za obietnicę, że będę lojalnym obywatelem, ów kpt. Dymydow 28 lutego 1940 r. zwolnił mnie z więzienia. Wróciłem do swej rodziny, zamieszkałem u mego szwagra Władysława Jakubowskiego w Brachówce, gromada Kąty [Konty], pow. Złoczów, woj. tarnopolskie. Kiedy byłem w domu, Ukraińcy znowu nie dawali mi spokoju, pędząc mnie na różne roboty leśne i drogowe.

9 kwietnia 1940 r. o godz. 23.00 przybyło do mnie dwóch NKWD-zistów, przeprowadzili rewizję i aresztowali, odstawiając mnie do miasteczka Olesko, do rejonu NKWD, na czele którego stał jakiś *komandir* nazwiskiem Horbacz. Tam po przeprowadzeniu szczegółowej rewizji osobistej zabrano mi dwa zegarki, to jest mój, który otrzymałem zwrócony po pierwszym aresztowaniu, i srebrny zegarek mej córki marki Doxa, pasek, szelki, szalik, okulary z futerałem, scyzoryk, rękawiczki irchowe i inne drobne rzeczy, których dziś nie pamiętam, po czym Horbacz spisał ze mną krótki protokół i kazał mnie zamknąć w celi sądu grodzkiego. W celi już siedzieli: Polak, emeryt, przodownik Policji Państwowej Stanisław Marszał, lat 64; Piotr Mach, lat 55; N. Tymburski; sędzia grodzki Stanisław Hajek; urzędnik sądowy Henryk Korol; student N. Tymburski [sic!]. 10 kwietnia 1940 r. odstawiono nas do więzienia w Złoczowie. W czasie podróży surowo zakazano na kogokolwiek patrzeć się lub w jakikolwiek sposób porozumiewać się, gdyż inaczej kula w łeb.

10 kwietnia o godz. 11.00 znaleźliśmy się na dziedzińcu więzienia w Złoczowie, wyładowano nas z samochodów i odprowadzono na celę nr 9 wielkości cztery na pięć, na trzy, gdzie wepchano ok. 60–70 osób, samych Polaków. 12 kwietnia przeprowadzono ponowną rewizję w osobnej zimnej celi, gdzie pojedynczo rozbierano do naga, odcinano od ubrań wszystkie sprzączki, haftki, guziki i inne przedmioty, nawet sznurki. Nie wolno było mieć choćby zapalek i tytoniu ani żadnych papierów, gotówki – zgoła nic. Po tej chłodnej rewizji odstawiono mnie i moich towarzyszy na celę 25, pierwsze piętro. Tam rozlokowaliśmy się naokoło ścian na brudnej podłodze. Cella o wymiarach pięć na sześć, na trzy [metry], spało tam 37 osób, wśród których znajdowało się pięciu Ukraińców i dwóch Rusinów z Bortkowa, pow. Złoczów. Około 20 maja przepędzono nas wszystkich na celę 24, wymiary pięć na siedem, na trzy, i zgrupowano

w niej 68 ludzi. Dano nam sienniki ze startą słomą i wszami, gdyż od tego czasu były wszy. Lekarz, por. Stanisław Śmierzchalski (obecnie Szpital Polski nr 2 w 7 Dywizji Piechoty, Irak) wzywał wszystkich do bicia wszy. Cella, jak już wspomniałem, była brudna. Smród ze stojącego kibla, okna zamurowane do trzeciej części, łaźnia raz na dwa miesiące. Jedzenie: rano herbata, ćwierć litra, gorzka; obiad ćwierć litra zupy z kapusty i dwie łyżki stołowe kaszy jaglanej; kolacja ćwierć litra zupy jaglanej. Wszystko to było z tłuszczem roślinnym w małej ilości. Chleba dawano dziennie 650 g, czarnego. Była też możliwość pięć razy kupienia tytoniu (machorki) po cenie państwowej, sowieckiego chleba, kiełbasy, cebuli, były też dwa razy cukierki i cukier, lecz ograniczona ilość – można było kupić tylko 50 dag. W celi nie wolno było modlić się ani głośno mówić. Codzienny spacer dziesięć minut w ukrytym specjalnie miejscu na uboczu, z zakazem patrzenia jeden na drugiego (ręce w tył, głowa w dół). Częste niespodziewane rewizje w celi (nas wypędzano do innej, próżnej celi) – wywracano wszystkie nasze rzeczy i sienniki do tego stopnia, że gdy wpędzano nas z powrotem do tej samej celi, unosiły się tumany kurzu, zaś drzwi zatrzaśnięto. Zgroza. Łykamy kurz z sienników i milczymy, życząc w duchu powodzenia naszym stróżom, a byli to sami NKWD-ziści, których nie znaleźliśmy z nazwiska (jeden był Żyd ze Złoczowa, nazwiskiem Pion, malarz pokojowy, który najwięcej nam dokuczał, znając nas osobiście, tak jak ja jego znałem). W celi nr 24 siedział z nami również Żyd ze Złoczowa, Zachariasz Fürgang, który często chodził do kancelarii pod pozorem protokołu. Był silnie podejrzany o donoszenie władzy sowieckiej o stosunkach na celi, rozmowach wśród Polaków, lecz nic my o tym nie stwierdzili, gdyż nie dało się. Fürgang narzekał w swych potocznych rozmowach na różne legalne polskie instytucje, z czego był podejrzany, a pewnego dnia powiedział, że Polska składała się z samych *batiarów* i szubrawców. Na powyższe zrobiłem raport 15 maja 1942 r. na terenie Rosji w Guzarze [G'uzorze] Ośrodek Organizacyjny Armii, kiedy stwierdziłem, że ten jest w Wojsku Polskim, naprowadzając świadków dowodowych.

Dnia któregoś w listopadzie 1940 r. przepędzono nas do celi nr 23 o rozmiarach trzy na pięć, na trzy [metry], w liczbie 36 osób. Obchodzono się tak jak wyżej wspomniałem.

7 marca 1941 r. wywołano z różnych cel ludzi na celę 24, przygotowując na wywóz do Rosji w niewiadome miejsce. 10 marca zabrano nas, 67 ludzi różnych, jak zauważyłem – samych Polaków, na samochody ciężarowe po 25 osób i zawieziono na stację w Złoczowie. W czasie podróży zakazano patrzeć na boki, gdyż bili nas [za to] kolbami. Tak było z plut. Antonim Szuniem z Podhorców, pow. Złoczów, który zobaczył znajomą kobietę i mimo woli popatrzył, za co dostał od konwojenta trzy razy kolbą w plecy. Zatem wszyscy się bali bicia.

Po wyładowaniu na stacji w Złoczowie, gdzie czekał już pociąg towarowy, kazano nam siadać przed wozem (wagonem) w błocie (woda deszczowa), a kto się wzbraniał, bito kolbą. Nazwiska owego osobnika nie pamiętam, a był on z Kamionki Strumiłowej, woj. tarnopolskie (rzekomo nazywał się Szlachetko, który za podobny niedosłuch dostał kolbą dwa razy).

Po załadowaniu nas do wagonu w 36 osób pociąg ruszył w kierunku Tarnopola. Wagon był bez opału, zimny. Jechaliśmy przez pięć dni do Starobielska, w czasie podróży dawano nam śledzie i trochę chleba – ok. 50 dag – bez wody. Wóz był zamknięty na kłódkę lub śrubą zakręcony, okna zasłonięte grubą blachą, jak to zwykle jest przy wozach kolejowych okiennica. Gdy kto przechodził obok wozu, prosiliśmy, by dał wody, lecz prośby nasze nie odnosiły skutku. W czasie jazdy konwój przeprowadzał kontrolę wozów wewnątrz, tzw. *prowierka wagonu*: wchodziło trzech NKWD-zistów, przepędzali w jedną połowę wozu 36 ludzi w wielkim ścisku, opukiwano ściany wagonu młotkiem, a też – niby przez nieostrożność – po głowach bito, szarpano, rwano odzież w czasie przepędzania ludzi ze skontrolowanej połowy wozu na drugą. Działo się to szczególnie porą nocną, po dwa do trzech razy. Na prośbę o wodę w tym czasie odpowiadano nam po rosyjsku: *Mołczy, swołocz polacka*, zaś drugi konwojent w tym czasie zaraz bił młotkiem trzymanym w rękę. Wszystko milczało z bojaźni. Po przywiezieniu na miejsce, tj. do Starobielska, wyładowano kolejno wagonami ok. dwóch tysięcy osób i pędzono kobiety i mężczyzn razem czwórkami do miasta. Niektórzy byli ubrani, a niektórzy wprost goli i bosy, gdyż kto nie miał z domu odzienia, ten nie otrzymał. Na przykład ja sam byłem bez koszuli, gdyż ta, którą miałem w więzieniu, zdarła się. Byłem cały czas bez koszuli, a otrzymałem dopiero w polskiej armii na terenie Rosji w Tocku [Tockoje] we wrześniu 1941 r.

W Starobielsku zapędzono nas do jakiegoś klasztoru, gdzie zamknięto nas na brudnych legowiskach z desek, bez sienników. Tam dawano każdego dnia rzadką zupę z kapusty i dwie łyżki grochu lub kaszy jaglanej, chleba 600 g, lecz bardzo mokrego, ze stęchłego żyta. Chleb był bardzo ciężki i mały kawałek. Wszy, brud, pluskwy nie do opisania, a najlepszym świadkiem może być i lepiej to opisać ppłk. lek. Sołtysik, obecnie w Wojsku Polskim, gdyż był tam razem ze mną.

Pracy żadnej aresztanci nie wykonywali, a tym samym i ja nic nie robiłem, lecz siedziałem pod kluczem. Prośby o więcej jedzenia i chleba spełzały na niczym. Co drugi dzień rewizje osobiste, głód dokuczał bardzo, do tego stopnia, że jedliśmy nawet łby i ości ze śledzi oraz inne odpadki, by chociażby na chwilę zaspokoić głód.

Około 20 czerwca 1941 r. zabrano nas prawie wszystkich ze Starobielska i wywieziono mnie na północ, do Suchobezwodnej [Suchobezwodnoje], w lasy. W czasie podróży ten sam proceder w zamkniętych wagonach, karmiono śledziami bez wody przez sześć dni. Byli ze mną sami Polacy, a to: kpt. lek. Piotr Tymrakiewicz, obecnie 2 szpital Armii Polskiej Kanaqin [Chanakin]; wicestarosta Jan Pałys z Brzeżan, obecnie nie wiem, gdzie jest; ks. jezuita Kozłowski z Kołomyi, obecnie w 7 Dywizji Piechoty.

Na miejscu, w Suchobezwodnej [Suchobezwodnoje] na północy, ulokowano nas w drewnianych barakach i bez jedzenia pędzono do pracy rąbać las i wyrabiać normy, tj. narąbać sześć metrów sześciennych drzewa, złożyć i pokazać starszemu Sowietowi gotowość wykonanej pracy, by on zapisał normę, a tym samym otrzymać jakie takie jedzenie. Gdy wróciłem z lasu, ja i moi wyżej wymienieni współpracownicy, do baraku, to rzeczy, które posiadaliśmy, już nie było – sowieccy *komandiry* zabrali (skradli) i nie było kogo pytać i do kogo żalić się, bo taki był tam porządek. Po pracy zaraz zbiórka na dziedzińcu, gdzie ogłaszano system komunizmu i dobrobyt Rosji, a opornych zamykano do karceru (aresztu). Wszy, pluskwy straszne, a komary zagryzały nas strasznie. W barakach brud, podłogi nigdy nie myte. Śniadanie o godz. 4.00 składało się z jałowej rzadkiej zupy, obiad z gorzkiej, w dowolnej ilości, zabarwionej gorącej wody, o godz. 20.00 ćwierć litra zupy, dwie łyżki kaszy i 60 dag czarnego chleba. Praca trwała 14 godzin dziennie, od 22 czerwca 1941 r. zmniejszono rację chleba z 60 do 40 dag, a tłumaczyli władze sowieckie, że obecnie wojna, dlatego stosują oszczędności. W miejsce tego przedłużono pracę z 14 do 16 godzin.

Prace były różne, szczególnie rąbanie lasu, budowa drogi kolejowej, gdzie jeden robotnik, by wyrobić normę na wyżej wspomniane jedzenie, musiał wynieść 11 m<sup>3</sup> ziemi na nasyp kolejowy na odległość dziesięciu metrów, czyli we dwóch 22 m<sup>3</sup>, gdyż robota ta wykonywana była tylko we dwójkę. W razie niewykonania normy zamykano po powrocie z pracy do aresztu, specjalnie do celi takiej, gdzie było dużo młodych sowieckich komunistów, a ci wskutek wygłodzenia i nienawiści do Polaków żadnego jedzenia nie dali, twierdząc: „Raz normy nie wyrobiłeś, jeść nasz Sojuz nie daje”. Wszelkie zażalenia nie odnosiły żadnego skutku. Następnego dnia po wypuszczeniu o godz. 4.00 ponownie przemówił rozdzielczy prac, by wyrobić normę, gdyż w przeciwnym razie znowu zamknie na noc. Taki los spotkał mnie dwa razy w Suchobezwodnej [Suchobezwodnoje]. W obozie (więzienie nr 6) żadne choroby nie były uznawane przez lekarzy, a dopiero wtenczas, kiedy każdy laik widział już konającego człowieka na drodze, przy pracy czy też w baraku, takiego zabierano natychmiast i więcej go nikt z aresztowanych nie widział.

Porządek dzienny: pobudka o godz. 3.30, chodził jeden sowiecki aresztant po barakach, a gdy wszedł do baraku i krzyknął: *Podjom!* wszystko musiało już stać na nogach, w przeciwnym razie kopał obcasami i bił gwałtownie laską gdzie mu się podobało. Każdy starał się tego uniknąć, ostatkiem sił zrywał się jak mógł. O godz. 4.00 śniadanie: ćwierć litra zupy ze szprotek (małych rybek zwanych *tiulki*), a odbywało się to w stołówce, gdzie niejednokrotnie nie dano czasu na spożycie tego jedzenia, gdyż o godz. 5.00 już musiałem być na dziedzińcu do zbiórki na *rozwod* i o tej godzinie wymarsz siedem kilometrów do pracy na kolej. W czasie marszu czwórkami ludzie padali już po drodze, było dużo takich wypadków. Pamiętam na przykład, jak padł po drodze do pracy kolega Bielec ze Lwowa (wskutek wycieńczenia), *bojcy* zatrzymali resztę aresztowanych, kazano zabrać Bielca i prowadzić do pracy. Musiał pracować po pół godziny odpoczynku. To samo działo się i po pracy, tak że wracaliśmy o godz. 22.00 do domu, w barakach ciemno, bez światła, na bramie każdego dnia gruntowna rewizja, szarpanie, bicie przez prowadzących rewizję, darcie kieszeni i innych części odzieży, po czym puszczano do wnętrza więzienia (zagrody), a następnie wołano na obiad składający się z ćwierć litra rzadkiej zupy z soi lub rybek i dwóch łyżek kaszy oraz 40 dag chleba. Prędko kładłem się spać na gołej brudnej podłodze, w dodatku czasami zupełnie przemoczony deszczem całodziennym, gdyż na drugi dzień czekał nas ten sam los.

Chorzy po pracy zapisywali się do lekarza, to ich nie przyjmowano, a odkładano na dzień następny. Wolno było się zapisać tylko po pracy, tj. godz. od 19.00 do 21.00, a było to wielkie ryzyko, bo gdy lekarz nie uznał, chorego zamykano natychmiast do aresztu. Lekarze, nawet Polacy, mieli nakaz nie uznawać chorych, chyba już konającego. Mówił mi to lekarz ukraiński N. Ryszyński (z Wołynia, Polska), który był razem ze mną. Jemu na Polakach nie zależało, mnie jednak znał ze Starobielska, uważał mnie za Ukraińca i zwierzył się mi.

25 sierpnia 1941 r. sowiecki referent oświatowy począł [nam] czytać dzienniki o wojnie niemiecko-sowieckiej i artykuły o zawarciu umowy między gen. Władysławem Sikorskim a Stalinem i o tworzeniu się polskiej armii w Rosji sowieckiej, lecz stosunki przez to nie polepszyły się. Zachęcano za to do wytężenia wszystkich resztek sił do pracy, jakoby wspólnej walki.

W końcu nadmieniam, że będąc w więzieniu w Złoczowie zamknięty zostałem do aresztu dyscyplinarnego (karceru) za to, że posiadałem i znaleziono u mnie ukryte w czapce 1 110 zł, a to: dwa banknoty po 500 zł, jeden stużłotowy i dwa po pięć złotych. Odsiedziałem za to na

betonowej podłodze polanej silnie wodą, bez ubrania, tylko w kalesonach przez pięć dni i bez jedzenia w ciemnej celi, wymiar dwa na dwa, na trzy [metry] – gotówka i inne przedmioty na wstępie wspomniane nie zostały mi do dnia dzisiejszego zwrócone.

7 września 1941 r. zostałem zwolniony z obozów i 9 września przybyłem do Armii Polskiej w Tocku [Tockoje] i pozostaję szczęśliwy do dnia dzisiejszego.

Od chwili aresztowania o rodzinie swej nie wiem nic, mimo moich prób pisemnych do władz sowieckich w Złoczowie.

Miejsce postoju, 4 marca 1943 r.